

Brunowie

rodzina bardzo warszawska

Rzeczpospolita warchotów dogorywała, gdy w 1794 r. Krzysztof Brun kładł podwaliny pod reguły pozytywistycznego myślenia w narodzie. Pochodził z pracowitej, ewangelickiej rodziny Niemców z Wittenbergi (lub jak chcą inne źródła, Szwedów), w połowie XVIII w. osiadłej w Polsce.

Krzysztof Brun, jak kiedyś o nim napisano, był jedynym przedstawicielem rodziny, który miał prawo narzekać na ciężkie dzieciństwo. Od trzynastego roku życia wyciskał siódme poty w sklepie z artykułami żelaznymi J.D. Münkenebecka na rogu placu Teatralnego i ul. Bielańskiej. Gdy dorósł, poślubił wdowę po swym pryncypale. Odtąd pomyślny wiatr dał niemal bez przerwy w żagle okrętu firmy „Krzysztof Brun i Syn”.

Biznes rozwijał się, firmy rodzinne mnożyły. Brunowie jako pierwsi wprowadzili do Polski produkty Gillette, słoje Wecka (w Krakowie do dziś nikt inaczej na domowe przetwory nie powie, jak „weki”) i haele do kucia koni. Stanisław Gustaw Brun uruchomił pierwszą w Imperium Rosyjskim produkcję kuchni polowych, co znacząco wpłynęło na losy wojny rosyjsko-japońskiej. W międzywojniu firma miała przedstawicielstwo we wszystkich miastach województwa Rzeczypospolitej, zatrudniając ponad 300 osób. Handlowali maszynami do pisania Remington, utrzymywali własny salon wystawienniczy w hotelu Bristol. Zawsze wypłacalni, dbający o jakość oferowanych produktów.

I wszyscy bez wyjątku zapadali na dziedziczną „chorobę” społecznictwa: tworzyli Towarzystwa Wzajemnej Pomocy, Szkołę Handlową, sponsorowali szpital dziecięcy, wyżywali się w Komitetach Obywatelskich i w Parafii Ewangelickiej. Niezmordowanie zajmowali się polityką, wspierali kulturę. – W okresie międzywojennym firma miała dobrą markę także wśród bohemy – opowiada Paweł Brun, obecny szef

rodzinnej firmy. – Rodzina знаła Juliana Tuwima, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, a Władysław Reymont nawet bywał u mojej ciotki na obiadach...

„Myśli są wolne od cła”

Przez wiele lat Paweł Brun mieszkał na Mokotowie przy ulicy... Juliana Bruna. Akurat tu zbieżność nazwiska jest zupełnie przypadkowa. Julian Brun łatwo mógłby dziś stać się niechlebnym bohaterem kolejnego filmu, którego reżyser chciałby rozliczać się z mętными fragmentami polskiej historii. Dziennikarz, zagorzały komunista, działał na rzecz przyłączenia Polski do ZSRR jako kolejnej republiki. Kwalifikacje na patrona ulicy raczej mierne. Toteż tkwi na samym czelu PIS-owskiej listy Komisji ds. zmian nazw ulic. – Zrobmy coś dla rodziny – rzekł Paweł Brun, spadkobierca rodzinnej tradycji. Wraz z synem

Sklep firmy Krzysztof Brun i syn tuż po wojnie w wypalonej kamienicy przy ul. Marszałkowskiej.



Fryderykiem złożyli wniosek do mokotowskiej komisji nazewnictwa o zmianę patrona ulicy na Henryka Bruna. – Po jakimś czasie – opowiada – zaproszono nas na sesję. Obecni byli również przedstawiciele spółdzielni „Batory”. Radni podzielili się w opiniach, lokatorzy w większości byli przeciwni. Obawiali się wydatków, jakie musieliby ponieść w związku z wymianą dokumentów. Później dowiedzieliśmy się, że dowody osobiste z obliżu wszyscy wymienimy już w przyszłym roku. Henryk nie był z tych, którzy chcieliby na siłę forsować jakiegokolwiek zaszczytu dla siebie. Szkoda tylko, że ludzie nawet nie chcieli się dowiedzieć, kim był i czemu lepiej niż Julian zasługuje na własną ulicę...

Szkoda. Społecznik, poseł na sejm, działacz na rzecz zahamowania rosnących wpływów koncernów zagranicznych w handlu polskim kosztem rodzimych przedsiębiorców. Prawdę mówiąc i dziś miałby pole do popisu. W środowisku kupców zyskał poważanie. Pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Kupców Polskich i prezesa Naczelnej Rady Zrzeszenia Kupiectwa Polskiego. Wiosną 1940 r. Henryk Brun doczekał się wizyty o dość specyficznym charakterze. Okupanci oczekiwali, że – z uwagi na „aryjskie” korzenie rodziny – będzie agitował na rzecz zbiórki pieniędzy na budowę siedziby SS w Warszawie.

Na zebraniu kupiectwa w restauracji Langnera przy placu Teatralnym Brun zrehabilitował propozycję i zadeklarował wrogi do niej stosunek. „Myśli są wolne od cła” – powiedział wtedy. Następnego dnia oficjalnie odmówił złożenia „dobrowolnego” datku. Patriotyzm i honor kosztowały go życie. Zginął w czerwcu, rozstrzelany w Palmirach. Polska Ludowa uhonorowała go pośmiertnie Krzyżem Walecznych. – Podjął bohaterską decyzję świadomie, mając czas na przemyślenia i zdając sobie sprawę z konsekwencji – konkluduje z zadumą Paweł Brun. – A przecież





Paweł Brun
spadkobierca
rodziny tradycji.

nikt z nas nie może ręczyć, jak zachowa się w momencie krytycznym. Zdołać nie zaprzecić się sobie – to godne podziwu.

„Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie”

Historia to Brunów pieściła, to udzielała im surowych lekcji. Ojciec Pawła, Stanisław, przeżył obóz koncentracyjny w Dachau. O tych latach mówił niechętnie. Życie zawdzięczał świetnej znajomości niemieckiego. Wykorzystywano go jako tłumacza. Ale dla przeciętnego jeńca obóz był nie do przejścia. Najstraszniejsza była „kolacja”. Więźniów ustawiano w szeregu przed barakiem, gdzie każdy dostawał pajdkę chleba, po czym miał biegiem wracać do środka, zając swoją prycze. Za drzwiami rozgrywały się sceny, przy których piekło Dantego to kreskówka dla grzesznych dzieci. Ludzie zachowywali się jak dzikie bestie, człowieczeństwo gubili szacowni profesorowie, lekarze, adwokaci. Jedynym sposobem, by zachować swój przydział chleba, było wepchnąć go w całości w usta i mocno zacisnąć zęby. Przed wojną Brunowie utrzymywali stosunki handlowe z niemieckimi firmami. W obozie Brun odruchowo pisał setki listów do dawnych kontrahentów, szukając wieści o losie ojca. Odpisywano mu uprzejmie, na wysokiej jakości papierze firmowym. Komendant obozu nie posiadał się ze zdumienia, kim jest więzień, który otrzymuje taką ilość korespondencji z zasłużonych w III Rzeszy firm. – Tak to już z Brunami jest – śmieje się Paweł



Henryk Brun
rozstrzelany przez
Niemców w
Palmirach.

Brun. – Spotykają ich rzeczy, w które nikt nie może uwierzyć. Na przykład dziadek Stefan, Generalny Konsul Honorowy Finlandii w RP. Był kawalerem Orderu Białej Róży (najwyższe fińskie odznaczenie, przyznawane nielicznym). Finowie, słysząc o tym, uśmiechają się: – Miło, że słyszałeś o naszym orderze – a z oczu nie znika im wyraz powątpiewania. A Biała Róża istnieje. Fizycznie. U nas w domu.

Po wybojach do sławy

Po wojnie majątek rodziny znacjonalizowano. Firma kierowana przez Stanisława Bruna dostała z urzędu skarbowego domiar, którego spłata zajęłaby 250 lat! Państwo pozwoliło mu zachować minimum socjalne, wszystko, co udało się zarobić ponadto, konfiskowano. Brunowie z charakterystyczną dla rodziny energią skoncentrowali się na innej działalności. Dziadek Stefan został wiceprezesem Warszawskiego Komitetu Odbudowy Kraju i Stolicy. Obaj jego synowie uprawiali wyczynowo sport (w sumie zdobyli 9 tytułów motocyklowych mistrzów Polski). Dodatkową motywację stanowił dla nich fakt, że na nagrody rzeczowe państwo nie dybało. Ojciec Pawła zadebiutował w wyścigach jeszcze jako dzieciak, przed wojną. Był bardzo popularny, szalony rajdowiec, który jeździł swoim nortonem ponad 200 km/h. – Rajd Tatrzeński... cała rodzina na niego czekała. – Ojciec zawsze wygrał, a główną nagrodą był motocykl: wufemka albo java. A jak wygrał, to

był bal niezłym na wsi po świniobiciu – śmieje się Paweł Brun. – Pamiętam to jako wspaniałe czasy. Wszyscy w rodzinie zachowali radość i dystans do życia, nawet po tym, jak bogatych od pokoleń ludzi sprowadzono do cieniutkiej egzystencji. Stanisław zawodowo testował motocykle. – Tak długo jeździł junaikiem po wybojach, aż wreszcie pękła rama. Udoskonalono ją tak, że sytuacja nigdy się nie powtórzyła. W zakładach, w których pracował, powstał słynny skuter Osa, na który licencję zakupili Hindusi. – Ojciec spędził w Indiach pół roku, wuj Krzysztof, z zawodu konstruktor, jeszcze dłużej: aż dwa lata, spisując przy okazji nie całkiem cenzuralne pamiętniki...

Właściciel, który nie włada gruntem

Po 1989 r. Paweł Brun mógł powrócić do rodzinnych tradycji handlowania. Wspólnie z kolegami zajął się importem i serwisem sprzętu biurowego. Cały czas finansował też działania prawników na rzecz odzyskania przez rodzinę firmy „Krzysztof Brun i Syn 1794” (jak się okazało, nigdy nie wykreślonej przez nie dość gorliwych urzędników z rejestru sądowego, co czyni ją jedną z najstarszych, jeśli nie najstarszą w stolicy) oraz odzyskania Kamienicy Artystycznej przy ul. Białostockiej 22 (przed wojną składu produktów). Rodzina złożyła wniosek o zwrot macierzystej kamienicy firmy na placu Teatralnym, ale w sądach wszystkich instancji przegrali. 300 m² działki należy wprowadzić do nich, ale nie mają prawa nimi dysponować. Kiedyś chcieli kupić go deweloperzy, jednak Paweł Brun nie potrafił spieniężyć resztek rodzinnej historii. – Chętnie odtworzyłbym kamienicę – mówi.

Tymczasem wznosi nowy budynek, na tyłach Kamienicy Artystycznej i od 1992 r. rozwija kolejną już firmę. Tym razem biotechnologiczną – BioArcus, specjalizującą się w neutralizacji przykrych zapachów. Co w naszym kraju, nie należącym wszak do liderów higieny, ma walor nowatorski. Tym wszystkim, którzy korzystają z szamb czy też „produktują” tzw. przez nich „zapachy złozone”, oferuje produkty linii bioExpert oraz bariery antyodorowe, preparaty biologiczne i chemiczne dodawane do ścieków, osadów lub do spryskiwania powierzchni oraz biofiltry i filtry chemiczne. Jego nowa firma doskonale wpisuje się w rodzinną tradycję Brunów – słynęli oni wszak z nowatorskich pomysłów i niezasklepania się w jednej tylko dziedzinie handlowej...

AGNIESZKA SKÓRSKA-JARMUSZ

Fot. Agnieszka Skórska-Jarmusz, archiwum rodzinne